

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 61.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{12}{24}$ listopada 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Teofil Lesiński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Pomniki Ostrogskich i Tarnowskich w Tarnowie (z dwoma drzeworytami). — Kronika sztuk pięknych. — Dopelnienie opisu bitwy pod Samo-Sierra. — Korrespondencya od redakcyi. — Hrabianka Dynia, obrazek skreślony przez Teod. Tom. Jeza (dalszy ciąg). — Ruiny zamku w Wyszyńcu (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Teofil Lesiński.

Jeżeli człowiek, którego życie z jakiegokolwiek strony przynosiło ogółowi pożytek i chlubę, przyniesiony wiekiem, z siłami do dna wyczerpanymi, schodzi z tego świata; niepodobna wszelako oprzeć się uczuciu smutku i nie spojrzeć ze łzą w oku za znikającą postacią, której widok uprzytomniał choćby tylko miłe dla serca ogółu wspomnienia i wspomnieniami zachęcał do czynu, do naśladowania. O ileż bardziej przenikającym jest ten smutek, kiedy śmierć wydrze ogółowi człowieka, który był samym czynem, który miał przed sobą długi jeszcze zawód pracy i zasługi dla dobra publicznego, a z taką chęcią, z tak prawdziwem powołaniem i bezinteresownym zapałem spełniał ten zawód, jak świeżo stracony dla nas Teofil Lesiński. Kiedy przed kilką miesiącami wykladał nam przedmiot swój popularnie, wśród tłumnie zebranej publiczności, kiedy przed kilką zaledwie tygodniami przemawiał do nas publicznie na pierwszym uroczystym akcie w auli akademickiej; któż z nas, widząc tę pełność życia, mógłby przypuścić, że za chwilę głos kolegi będzie go żegnał przed trumną? kto z interesujących się sprawami ogółu, odchodząc od tego grobu i spojrzawszy w sąsiedztwie na wiele świeżych, przedwcześnie mogił, nie powiedział do siebie z goryczą: Boże! tak nieliczne to kółko; a tak się uszczupla.

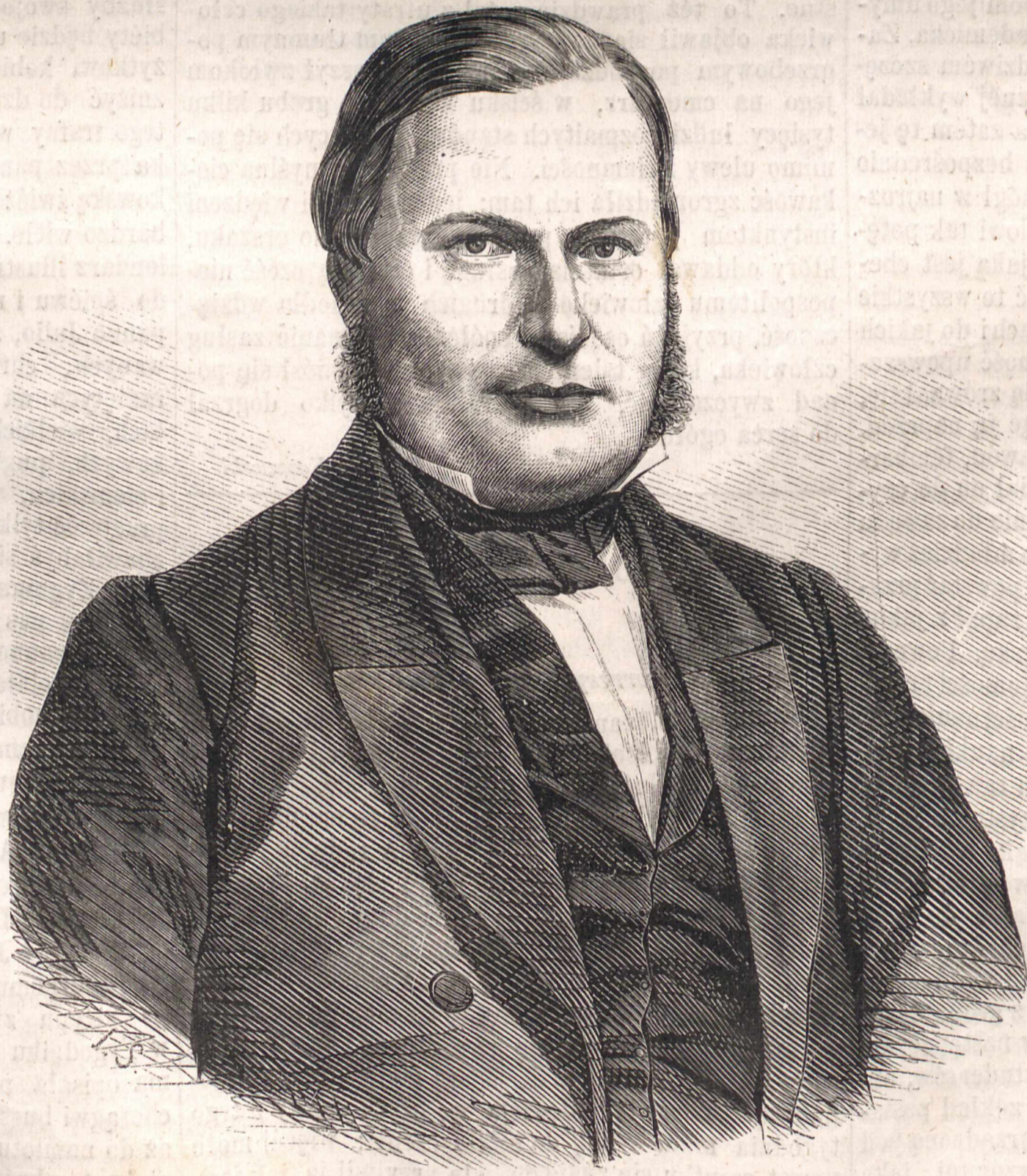
Prędko ubiegło życie Lesińskiemu, jak to zwyczajnie przy pracy, która starczy i za trud, i za rozrywkę, i za wszystkie przyjemności życia. Urodził się on w Warszawie 1821 r., z ojca Ignacego, zacnego obywatela i zasłużonego farma-

ceuty, właściciela apteki, którą następnie synowi przekazał, z matki Krystyny z Weissów, a pierwotne nauki odbywał w gimnazjum na Lesznie. Położenie towarzyskie rodziców zapewniało mu wszelkie środki kształcenia się; nie był on zmuszonym, jak wielu z rówieśników jego, o suchym częstokroć kawałku chleba i kostniejącą od zimna ręką dobijać się prawa do rozwinięcia swych zdolności na pożytek ogółu: a lubo uwielbiamy taką wytrwałość i męstwo, które

w samym niedostatku czerpią siły do wybicia się na szeroką widownię działalności umysłowej, niemniej jednak uznajemy i niebezpieczeństwo przeciwnego stanu. Młodość Lesińskiego przypadła na tę właśnie porę, w której ogół młodzieży pochodzącej z zamożniejszych domów pozostawił po sobie bardzo smutne wspomnienia bezwstydnego próżniactwa i zaraźliwej rozpusty, — wspomnienia, które przywizały się i do nieznanym, i do pięknych, nawet tradycyjnych imion.

Otoczony taką atmosferą, mógł być łatwo i nasz Lesiński pójść drogą powszechniej gnuśności, i licząc na przyszłe zasoby, oddać się próżnowaniu. Ale czuł on wcześniej zalety pracy, przekonany był mocno że tylko uczciwie pracujący człowiek jest prawym synem kraju, a próżniak jego wyrzutkiem. Ukończywszy więc chlubnie nauki gimnazjalne, wybrał sobie zawód swego ojca i wszedł jako uczeń do b. szkoły farmaceutycznej, która zostawała pod kierunkiem Rady lekarskiej, aż do wcielenia jej do Akademii medyko-chirurgicznej. Po odbyciu tam dwuletniego kursu i uzyskaniu stopnia prowizora farmacyi w r. 1845, kiedy odkryto w nim wyższe do nauk ścisłych zdolności, wysłany był kosztem rodziców za granicę, dla dalszego kształcenia się w nauce farmacyi i chemii, oraz dla zbadania wód mineralnych. Głównym ogniskiem studyów jego był Paryż: tam słuchoł on wykładu Dumasa, Pelouse'a i Frémy'ego, a zamierzwszy sobie zawód swój doprowadzić do możliwej doskonałości, poświęcił się nauce chemii z całą namiętnością, jaka tylko cechować może umysł chciwie pragnący wiedzy i postępu, tak iż kiedy powrócił do domu, mając lat zaledwie dwadzieścia sześć, już przez wszystkich ludzi nauki uznanym był za jednego z pierwszych chemików w kraju; nie trudno mu wtedy było uzyskać najwyższy stopień naukowy w zawodzie farmaceutycznym, to jest magistra farmacyi.

Od powrotu z zagranicy działalność



TEOFIL LESIŃSKI.

ńskiego nadzwyczajnie się rozwinęła. Ojciec oddał — W pod dozór zakład officynalny; współwłaściciele po — Ba — rzyli mu kierunek instytutu wód mineralnych; rząd — anował go assessorem farmacyi przy Urzędzie lekarskim miasta Warszawy i professorem w tej samej szkole farmaceutycznej, w której pobierał nauki. Tyle już ufności pokładano w siłach, w wiedzy i charakterze młodego chemika. Ufnosć ta nareszcie, popierana czynami Lesińskiego, wzrosła do tyła, że wkrótce potem zasiada jako egzaminator w Radzie lekarskiej i niebawem posunięty zostaje na stopień członka téjże Rady, to jest najwyższego podówczas trybunału naukowo-lekarskiego w kraju, a wszystko to odbyło się w przeciągu lat kilku. Zważywszy jak wiele i jak zaszczytnych włożono na Lesińskiego obowiązków, jakiego w krótkim czasie dobił się znaczenia; zważywszy mianowicie, iż on sam o nic nigdy się nie starał i żadnych zabiegów dla wywyższenia się nie czynił, możemy ztąd brać miarę jakich to zdolności i jakiej pracy był człowiek. To samo już wreszcie dowodzi, jak się z włożonych nań obowiązków wywiązywał. To też nie dziw, że gdy w r. 1857 otwartą została w Warszawie medyko-chirurgiczna Akademia, jemu w zakładzie tym powierzono katedrę chemii.

Dotąd Lesiński wyświadczał znakomite krajowi usługi. Nie ubiegając się ani o zaszczyty, ani o korzyści materyalne, rozdzielał czas i pracę pomiędzy książki, laboratorium i rozmaite zebrania naukowe, jak n. p. komitet złożony z lekarzy i badaczów natury do ułożenia słownictwa lekarskiego, którego także on był jednym z najczynniejszych członków. Officynę swoją urządził wzorowo, wprowadził do niej wszelkie ulepszenia, jakie tylko postęp nauki wskazywał, zaopatrzył ją w najdoskonalsze przyrządy, które znacznym kosztem z zagranicy sprowadzał; jak wszędzie tak i tu sumiennosć rozciągał do najdrobniejszych szczegółów, miał bowiem tę ambycją, aby wszystko co od niego pochodzi, było ze wszech miar dobrém. Tęż samą troskliwosć rozciągnął i do instytutu wód mineralnych w ogrodzie Krasińskich, którego był głównym zawiadowcą. Jako członek Rady lekarskiej przyczyniał się do rozstrzygnięcia nader ważnych kwestyj dotyczących farmakopei i w ogóle stanu aptek, oraz wszystkiego co ma związek z urządzeniami lekarskimi w kraju. Jako professor szkoły farmaceutycznej wreszcie kształcił gorliwie i sumiennie młodzież poświęcającą się temu zawodowi. Wszystko to jednak nietylko dogadzało potrzebom jego umysłu i pragnieniom serca, ile katedra akademicka. Zaszczyc ten był dla niego dopiero prawdziwem szczęściem. W szkole bowiem farmaceutycznej wykładał on tylko farmakognozyą i farmacyą, a zatém tę jedynie część, która trudni się więcęć bezpośrednio przysposabianiem lekarstw; tu zaś mógł w najrozsądniejszym zakresie oddać się wykładowi tak potężnej i tyle mającej zastosowań nauki, jaką jest chemia; tu on dopiero mógł spożytkować te wszystkie plony, jakie zebrał na paryzkich studyjach i do jakich własną doszedł pracą; tu miał sposobnosć upowszechnić w kraju naukę, z której wysokością zrównał się, albo też, gdyby Bóg pozwolił, posunąć ją naprzód. Był to więc nowy zupełnie dla niego zawód, témbardziej iż w szkole farmaceutycznej miał on do czynienia z młodzieżą gotującą się wyłącznie do zawodu aptekarskiego; tu otoczyła go prócz tego młodzież wyżę w szkołach usposobiona, z której mieli powstać przyszli lekarze. To też trudno nam opisać zapał z jakim Lesiński oceniał to nowe swoje stanowisko. Pewnosć siebie, gruntująca się na doskonałej znajomości przedmiotu, gładkosć wykładu, obok całej ścisłosci naukowej, jednały mu umysły słuchaczy. Do tej nauki mozolnej i niekoniecznie wdzięcznej, umiał on tak zachęcić wykładem jasnym a nadewszystko korzystnym, iż jak audytorya zawsze pełne były słuchaczy, taki pracownia chemiczna przyciągała do siebie mnóstwo studentów, z których wielu objawiło już specjalne do tego przedmiotu zamiłowanie i wyraźną chęć uczynienia zeń sobie stałego nadal zajęcia, jeśli nie zawodu życia. Marzył też o tém Lesiński, aby z grona uczącej się młodzi usposobić dla tej katedry następcę; nie zbywało ku temu ani na dobrej woli studentów, ani na środkach, w jakie zaopatrzone jest zakład posiadający wyborną pracownię chemiczną, urządzoną pod kierunkiem samego Lesińskiego na wzór tej, jaka istnieje we Wrocławiu; ale trzy lata wykładu nie były wystarczającemi do tego celu, a śmierć przerwała

prace profesora i nie dozwoliła mu ucieszyć się stanowczym ich rezultatem. Nie zmarnieje jednak nadany przez niego popęd do chętnego i poważnego traktowania nauki, wspomnienie tak zacnego profesora będzie, mamy nadzieję, przyswiecać dalszym pracom uczniów i utrzyma ich w tym zapale do nauki, jaki on w nich obudzić potrafił.

Nie był Lesiński człowiekiem pióra: wszystkie jego prace koncentrowały się w ustnym wykładzie, w zajęciach praktycznych i doświadczeniach, w kolegialnych rozbiórach naukowych kwestyj, w wypracowaniu przedmiotów administracyjno-technicznych, w radach wreszcie udzielanych chętnie i bezinteresownie w gronie pracowników krzątających się około podniesienia nauki i przyswojenia jej krajowi. W dalszém życiu byłby się bezwątpienia dał szerzję poznać i w piśmiennictwie chemiczném; ale w ciągu krótkiego zawodu, obarczony tylu i tak ważnemi obowiązkami, nie miał czasu piśmiennie przedmiotu swego opracowywać. Niemalęj jednak wagi w tym rodzaju pracą jego są litografowane kursa farmacyi dla uczniów b. szkoły farmaceutycznej i chemii dla studentów akademii lekarskiej. Pomimo jednak że działania jego były raczję ukrytą siłą, niż uzewnętrzniającą się, znał go dobrze świat naukowy, czego dowodem iż w tym roku zaproszony został na kongres chemików w Karlsruhe.

Lubo zatopiony w nauce, Lesiński nie pozostał jednak martwym jej wyrazem, nie zamknął oczu na obowiązki bezpośrednie, ludzkie, całej owszem pracy jego przyswiecała i przewodniczyła rzadka obywatelska zacnosć. Zacnosć tej dawał on liczne i jawne dowody w stosunkach czy to z kolegami, czy z uczącymi się, czy z najbardziej obcymi nawet ludźmi; rozumiał on doskonale, że jest jeszcze coś poza nauką, droższe od niej i konieczniejsze. Delikatnosć w postępowaniu posuwał do najwyższego stopnia, pomimo iż nikomu nie schlebiał i słowa prawdy nie tłumiał względami, przed któremi słabosć uchyla głowę; dla potrzebujących rady lub pomocy serce jego i ręka były zawsze otwarte, a po chrześcijańsku — w skrytosci. Wiadomo jednakże całemu miastu, jakim był dobroczyńcą dla tych, którzy, mianowicie w chorobie, nie mieli się za co ratować; iluż to takich korzystało z jego apteki, ilu z zakładu wód mineralnych, którego był współwłaścicielem; co większa, ilu to młodych farmaceutów zawdzięcza mu nietylko wyższe wykształcenie, alenawet umieszczenie korzystne. To też prawdziwy żal z utraty takiego człowieka objawił się najwyraźniej w tym tłumnym pogrzebowym pochodzie, który towarzyszył zwłokom jego na cmentarz, w ścisiku koło jego grobu kilku tysięcy ludzi rozmaitych stanów, tłoczących się pomimo ulewy i ciemnosci. Nie prosta, bezmyslna ciekawosć zgromadziła ich tam: jedni przyszli wiedzeni instynktem potrzeby przyłączenia się do orszaku, który oddawał ostatnią posługę i ostatnią cześć niepospolitemu człowiekowi, drugich przywiodła wdzięcznosć, przyjaźń osobista, spólczucie, uznanie zasług człowieka, który talentem wprawdzie wzniósł się ponad zwyczajnosć, ale charakterem tylko dogrzał do serca ogółu.

Kazimierz Kaszewski.

Kronika tygodniowa.

Szanowna korespondentko Julio z nad Warty!

Donosisz mi, szanowna panno Julio, że jesteś w smutném usposobieniu, żeś niezadowolona z siebie i ze świata, jedném słowem że nudzisz się. Wiele mi to sprawia przykrosć, tém bardziej że nie umiem ci żadnego na to poradzić lekarstwa. A radbym jednak szczerze pomódz tak przychylnęj i pięknej zapewne czytelnicze, zwłaszcza że rady dam z nad Warty, których, jak ty panno Julio twierdzisz, jesteś organem, wysoko sobie cenię. Ale cóż poradzę z twoim smutkiem i znudzeniem? Zrobię co w mojej możnosci, postaram się wyleczyć cię homeopatycznie, jaśniej mówiąc ofiaruję ci dzisiejszą moję kronikę tygodniową. Niestety, niewiele wesołych rzeczy z tego tygodnia mam w niej do umieszczenia; więcęć może nawet smutku się znajdzie, ale przyjmij ją jak jest, i przez wzgląd na dobrą chęć, wybacz, jeżeli cię niezupełnie zadowoli.

Więc najprzód, korespondentko moja, ponieważ sama twierdzisz że masz pociąg do literatury, zacnę z tobą z tej beczki. Niestety, zupełnie niechcący przyszło mi pod pióro to godło Bachusa, a bogdaj literaturze tak dobrze się działo, jak płynom w beczkach zamieszczonym. Szumi ona czasem jak piwo, ale daleko mniej jest pokupną.

Zupański, znany poznański księgarz, bawił przez kilka dni w Warszawie. Ma on podobno zamiar wydać album poetów polskich, ozdobne stalorytami, do których rysunki robią Kossak, Antoni Zaleski i t. d. Pierwsza serya tego albumu zawiera w sobie następujące poematy: Maryą Malczewskiego, Pieśń o ziemi naszej Pola, Błogosławioną Lenartowicza, Konrada Wallenroda i Grażynę Mickiewicza. Sama przyznasz panno Julio, że trudno lepszy uczynić wybór. Album to ma na celu zastąpić kosztowne wydania ilustrowane zagraniczne, których tak wiele przychodzi do kraju, i na które, wyznaj tak między nami panno Julio, i ty i inne damy z nad Warty i z nad innych rzek polskich, niemało wydajecie pieniędzy. Leży to w salonie i w buduarze, bo piękne i ozdobne; niechże za pośrednictwem Zupańskiego nasi poeci zastąpią francuzkich i angielskich na tém uhonorowaném miejscu. Ręczę moim paniom, że salony nie tracą wcale na tém, a dodam w sekrecie, że będzie to nawet czasem skuteczném lekarstwem na nudy.

Mamy także zapowiedziane drugie jeszcze ilustrowane dzieło. Pan Matejko, znany malarz, ma zamiar wydać zbiór kostiumów narodowych, wraz z tekstem objaśniającym, począwszy od XIII wieku. Niewiadomo nam, czyli te wzory będą kolorowane, ale byłoby to pożądaném, bo w ubiorach, a zwłaszcza naszych, barwa ważny bardzo stanowiła warunek. I sama panno Julio przyznasz, że wolisz gdy pisma z modami, które otrzymujesz, mają kolorowe ryciny: daleko to jakoś raźniej, wyraźniej i plastyczniej przedstawia się oczom; tém bardziej więc, kiedy idzie o rzeczy dziejowej wartości, których trudno dowolną dopełnić fantazyą.

A jeżeliby cię zresztą, piękna moja korespondentko, niewiele obchodziły mody z XIII i XIV wieku, to mam na dobie inną, zupełnie tegoczesną publikacyą, która może tobie przypadnie do smaku. Czytania przyjemne i pożyteczne, wydawane dotychczas zeszytami przez pannę Szmigielską, przybierają sobie obecnie w pomoc ryciny i tak ze zdwojonemi siłami a powiększonym tekstem, ofiarują rodaczkom służby swoje powolne. Wszakże któż lepiej od kobiety będzie umiał utrafić w to, co ku zabawie i pożytkowi kobiet służyć może? któż lepiej potrafi się zniżyć do dziecięcych potrzeb i pojęcia? Dowodem tego trafny wybór Wspomnień z przeszłosci, dziełka przez panią Aleksandrę z Chomentowskich Borkowską świeżo wydanego. A o was, moje panie, myślą bardzo wiele. Oto pan Dzwonkowski znów wydaje kalendarz ilustrowany dla Polek, z litografiami, nutami do śpiewu i różnemi innymi ozdobami. Wierzaj mi, panno Julio, że tych kalendarzy ozdobnych, ilustrowanych, chromolitografowanych, litografowanych, rzniętych na drzewie i na różnych innych materyałach, wielkich, małych, ściennych, biurowych, biurkowych, pugilaresowych, kieszeniowych, niebieskich i ziemskich, wychodzi teraz tyle, że chciawszy je przejrzeć tylko po wierzchu, już na cały tydzień pozabawiłabyś się nudów.

O Zygmuncie Kaczkowskim, że przez kilka dni bawił u nas w Warszawie, dowiedzielaś się już zapewne, panno Julio, z naszych gazet. Wiem ja dobrze iż wolałabyś była sama widzieć autora Murdeliona, bo kobiety lubią osobiście poznać ludzi, z których dziełami, smutną lub wesołą myślą, łą lub uśmiechem już poprzednio zabrały znajomosć. Ale samaś temu winna; czemu tak rzadko przybywasz do Warszawy. A gdybyś mogła była znajdować się na sobotnim wieczorze u państwa Łuszczewskich, byłabyś słyszała Deotymę czytającą piękny bardzo ustęp z poematu o Janie Illim, dedykowany Kaczkowskiemu, obecnemu również na tym wieczorze. Treść tego ustępu znacie już z opisu bitwy pod Chocimem w Tygodniku Ilustrowanym zamieszczonego, Deotyma opisała przernięcie się na rozkaz Jana Illgo chorągwi hussarów naszych przez cały obóz turecki aż do namiotu wielkiego wezyra, i powrót ich. Wspomniały to obraz, a jak wiadomo talent poetki naplubię się właśnie w takich silnie odskakujących w pach, które ona potrafi uklejnutować całą wyk

tnością słowa swojego. Tém bardziej téż od całej téj świetnej barwności ślicznie odbija krótka a rzuwna modlitwa króla Jana i pełne prostoty ostatnie jego słowa ustęp ów kończące.

Czytałaś zapewne już, korespondentko moja, wspomnienie o Lesińskim, na czele dzisiejszego numeru Tygodnika umieszczone. Jeden jeszcze do tego wspomnienia mogę dodać szczegół, mniej może znany, a dobrze malujący człowieka. Lesiński, chemik z powołania, czując się mniej uzdatnionym w naukach matematycznych, jakkolwiek te nauki w zakres jego specjalności wcale nie wchodziły, postanowił prosić o pomoc w tym względzie jednego z młodych a znanych na tém polu pracowników naszych. I dziwny a pociągający był widok, jak profesorowie akademii, (bo za przykładem Lesińskiego poszło kilku jego kolegów), słuchali pilnie wykład matematyki, pragnąc w téj pięknej nauce stanąć na równi z postępnymi wieku.

Dobroczynność, mówi filozof chrześcijański, niekoniecznie zależy na udzielaniu pieniędzy i pomocy materyjalnej. Owóż Lesiński był dobroczynnym w całym znaczeniu tego wyrazu. Trudu, osoby, zdrowia nie pożałował dla uczynienia przysługi bliźniemu. A często dobra myśl, w gruntyżny wszczepiona, najlepszym jest podaniem ręki chwiejącemu się. Dla wielu bardzo Lesiński był podporą, dla wielu téż strata jego niezastąpioną się stanie.

Żałuję bardzo, panno Julio, że ci nic prawie nie mogę wspomnieć o teatrze, bo chociaż data jego otwarcia jest mniej więcej wiadoma, niewiele, o ile się zdaje, to otwarcie przyniesie nam nowości. Artysty jedni się porozjeżdżali, drudzy odpoczywają po niezmeżeniu się, ani słyhać o nauce nowych sztuk, a jednak był kawał czasu po temu, i zagraniczne teatry nie omieszkałyby z takiej przerwy korzystać. Wszakże już na brak dzieł oryginalnych skarżyć się nie można, tyle ich leży w zapasie. Ale nie dziwię się teatrowi naszemu, że się nie wysila. Kiedy publiczność jest zadowolona i tłumnie zwykle ucześnie na sztuczki, po setny któryś tam raz już odgrywane, choć każdy umie je prawie na pamięć, to pocóż artyści mają sobie zadawać trud niepotrzebny z uczeniem się nowych ról? I jeżeli, panno Julio, odwlekaś tylko przyjazd swój do Warszawy, czekając na teatr jako na rozrywkę, to nie przyjeżdżaj lepiej, bo ręczę że przy takiej rozrywce znudzenie twoje podniesie się tylko. I nie spodziewaj się żebyś coś innego ujrzała, jak jakieś tam Spotkanie, Czarną i białą i téjże samy siły arcydzieła. Nie chcę już nawet wiele o tém rozprawiać, bo gotówem, tak jak ty panno Julio, dostać czarnej melancholii. A jednak jest u nas pewna część młodej publiczności, niekoniecznie w krzesłach zasiadającej, która może i powinna czuć instynktownie potrzeby i główne zadanie sztuki. Gdyby ta część, przodująca nieraz w głośnie wyjawianiu zdania, folgowała oklaskom dawanym niedorzeczności i przesadzie, możeby rzeczy z konieczności inną przybrały postać. W każdym razie stokroć szczęśliwszaś od nas, panno Julio, bo nad Wartę czasem przynajmniej zaglądała teatru prowincjonalne, i tam choć niekiedy nową, oryginalną sztukę zdarzy ci się ujrzeć.

Teatryk Dobroczynności gotuje także nowe przedstawienia. O wyborze sztuk jeszcze nic nie możemy powiedzieć, w każdym jednak razie będą to zawsze sztuki oryginalne; zachodzą tylko jeszcze niektóre wątpliwości co do wyboru ich i obsadzenia. Bądź co bądź, pożądanymby było żeby ten teatryk utrzymał się, bo widzimy ze skutków iż niemałe on daje zapomogi co rok dla biędnych. Utrzymać się zaś nie może bez dobrej woli ogólniej; należy więc żeby każdy chętnie i szczerze przyniósł swoje ziarno do ogólnego plonu.

Zresztą nie żal się panno Julio. I tutaj ciężka, ołowiana atmosfera zawisa nad miastem naszym. Nuda kapie z dachów w kształcie stopionego śniegu, po ulicach topiel, twarze które napotkasz zakatarzone, skurczone, owinięte. Piękne kobiety pochowały się gdzieś, opustoszały po nich chodniki uliczne. Po godzinie 10-téj z wieczora mniej więcej całe miasto spać radzie; czasem tylko gdzieśgdyś głos fortepiana, śpiew jakiś wskazują, że jedna tylko muzyka jeszcze w téj pustce listopadowej. Robiliśmy w tych czasach dokładną statystykę amatorów i amateerek warszawskich. Okazała ona że w każdym do-

mu znajdują się przecięciowo cztery osoby grające na fortepianie, a trzy śpiewające. Dalibóg, jak na kilka tysięcy domów warszawskich, to wcale ładna liczba.

Więsz zapewne, korespondentko moja, że w Wiedniu otworzono teraz wystawę starożytności. Otóż masz dowód co może dobry przykład. Warszawa pierwsza urządziła taką wystawę i zwyczaj zaczyna się upowszechniać, bo co dobre, to wszędzie znajduje przyjęcie. O ile mi wiadomo, wyjechał w tych dniach do Wiednia Karol Beyer, bo zapewne na téj wystawie nie jeden zabytek polski się znajdzie, dobrze więc jeżeli go będziemy widzieć choć w fotograficznem odbiciu. Takich zabytków naszych mnóstwo musi być w różnych miejscach. Sądzę że gdyby w Stokholmie urządzono wystawę starożytności (a przyjdzie przecie kiedyś do tego, bo rzecz na dobie), znalazłoby się tam bardzo wiele rzeczy, o których my nie wiemy i z których zapewne sami Szwedzi, ich posiadacze, nie umieją zdać sobie sprawy. A i rękopisów tam musi także być niemało, dotąd bowiem niewiele jeszcze kto, oprócz p. Przeddzieckiego tam zaglądał. We Lwowie urządzają także wystawę starożytności, a znajdzie się tam zapewne wiele rzeczy, które na krakowską wystawę nie mogły być dostawiane.

W ogólności podoba nam się sposób urządzania tych wystaw, którego przykład również dała Warszawa. Są tam po większej części rzeczy drogocenne, a od samyże wewnętrznej wartości więcej ma tu daleko znaczenia praetium affectionis; bo prawdziwemu lubownikowi z największą przykrością przysłoby rozstać się z posiadaniem przez niego przedmiotami, zwłaszcza jeżeli, jak to się często zdarza, są pamiątkami rodzinnymi. Otóż po wystawie każdy wraca do swojej własności, a tym sposobem użytek się zrobił i nikt nie poniósł uszczerbku. Nawet dla niektórych, jak już widzieliśmy, stało się to przedmiotem spekulacji i dobrze zarobili na wystawionych przedmiotach. Cóżby téż się nie spieniężało w tym pieniężnym wieku?

Powtórzę ci jeszcze dość oryginalne zdanie, które zdarzyło mi się w tych dniach uchwycić. W jednym z tutejszych salonów mówiono o pewnym jegomości bardzo bogatym, którego majątek, jak przebąkiwano, z dość nieprawego miał pochodzić źródła. I znajdowali się jednak ludzie, co wierząc w zasadę że skutek usprawiedliwia środki, chwalili tego pana z jego usłużności, dobroczynności i w ogóle rozumnego sposobu, w jakim używa dochodów z wielkiej fortuny swojej.

— Co tam nam wglądać w początki? odezwał się któryś z tych panów, albo to wiemy jak kto przyszedł do majątku? Ludzie mają pełno tajemnic i niełatwo kto je zbada. Ja wierzę temu co widzę, a widzę że pan N** jest teraz bardzo zacnym obywatelem, że przyjemnością dlań jest jeżeli może komu przysługę zrobić, że stara się jaknajlepiej wychodzić z ludźmi, ma wielu przyjaciół i rzeczywiście zasługuje na to.

— Masz pan słusność, odezwał się ktoś, tylko podług pańskiej teorii trzeba koniecznie przez kilka lat zostać łotrem, żeby mieć potem za co być poczciwym człowiekiem. Wolę nie próbować wcale téj aplikacyi.

A teraz wydobywam już ostatni ładunek z mojej torby brukowych ploteczek; jeżeli cię nie rozweselił nim, moja melancholijna czytelniczko, to chyba wątpię o tobie. Wiadomo ci zapewne że w tych czasach kupcy warszawscy, w nadziei przyszłych świątecznych i karnawałowych sprawunków, sprowadzili mnóstwo nowych towarów. Owóż, chociaż ogólnie się skarżą na biędę, kupujących jednak nie braknie. W tych czasach przed jeden ze znaczniejszych tutejszych sklepów z nowościami zajechał powóz, którego kształt, zaprząg i liberya powożącego zdradzały parafialne pochodzenie. Z tego powozu wysiadły trzy damy i weszły do sklepu. Ale widać że wybór i targ długo się przeciągały, bo bawiły dobrą godzinę. Wychodzą nareszcie, i o zgrozo!... zastają stangreta, który odprzągnął konie, obrócił je przodem do kozła, zasypał świeżego obroku i zaczął paść na dobre. Zobaczywszy swoje panie, które oniemiałe stały na progu, zapytał z dobroduszną miną starszej z nich:

— Proszę jejmości, czy mam już ładować? Widzę żeś się uśmiechnęła, piękna pani, z téj konfuzyi własnej płci swojej; więc moja wygrana, zamykam kronikę.

POMNIKI

OSTROGSKICH I TARNOWSKICH W TARNOWIE (*).

Głównymi ozdobami kościoła katedralnego w Tarnowie są pomniki Janusza księcia Ostrogskiego (†1612), żony jego Zuzanny Seredzianki (†1596), hetmana Tarnowskiego (†1561), oraz syna jego Krzysztofa (†1567).

Pomnik Ostrogskich, co do swój wielkości i wspaniałości, nie byłby za małym nawet do rzymskiej bazyliki św. Piotra, a z piękności nie ustępuje słynnym swego wieku utworom. Znakomite to jest dzieło stylu odrodzenia, w całym tego słowa znaczeniu. Grobowiec Tarnowskich nosi w budowie swój piętno skażonego już renesansu, a przecież wydałby się jeszcze pięknym, gdyby nie stał naprzeciw monumentu księcia Konstantego, który już wszelkie zalety pochłoniął w siebie, jaśniejąc niemi niby blaskiem ognia, co ani porównać nie pozwala swój mocy z polyskiem choćby najpiękniejszego kamienia. Pomnik Ostrogskich świetny i kompozycją i sztuką wykonania. Książę Konstanty z żoną, występują na nim z całą pompą godności, z godłami rycerskiego żywota i swój wielkości; przecież cała ta ziemskość ustępuje w grobowcu najgłówniejszej jego myśli: kierunkowi religijnemu. Środek pomnika i nacisk kompozycyji mierzy w punkt, gdzie przed ślicznym krucyfiksem na pysznej trumnie kłęczą księżstwo. Symbole ich wielkości otaczają tylko, zdobią, podnoszą uczucie religijne rozlane w postaciach kłęczących, wskazując: iż człowiek tak możny na ziemi, tylko pokorę i modlitwę wnosi do świątyni, chcąc się niemi w pamięci potomnych zalecić, a gwiazdą wiary przeszłość swoją i czas swój przed następcami oświecić. Zwykle дума stawia pomniki; tu artysta i sobie i zmarłemu wystawił grobowiec, jakby z wieńca najwytworniejszych cnót, bo z wielkości a pokory, meztwa a modlitwy uwity.

Acz panegiryczne słowa po śmierci księżstwa wyrzyto na tablicach, przecież grobowiec ten poczęto stawiać za życia księcia Konstantego, jeszcze przed skonem jego małżonki, a zatem dobrze w XVI stuleciu; skończono roku 1620.

Napis na nim dowodzi: iż go wykonał *Jan Pfister* z Wrocławia. Pomnik Tarnowskich wyrzeźbił *Maria Palavini*, a *Jan Paneczek* w połowie XVIII stulecia 10 lat poświęcił na jego restauracyą. Przybywają więc z imionami temi nowe postacie rzeźbiarzy u nas goszczących, które, jak ów *Jan Michalowicz* z *Urzędowa* i *Józef Canellini*, na badania bliższe ich rodu i życia czekają (**).

Patrząc na grobowiec książąt Ostrogskich, przychodzi myśl, dlaczego ten cogo utworzył i ten co milionem prac całego życia artysty zapłacił, nie pomyśleli o kościele dla pomnika, ale w najniekorzystniejszem dla widza ustawili go świetle. Monument ten, wysoki 22 łok., szeroki 12, ogromem już swoim nasuwa wykrzyk podziwu: co to za summy miano dawniej na zapłacenie artysty, dla kościoła, na fundacye i grobowca!

Pomnik Tarnowskiego Jana i Krzysztofa, przedstawia ich obu leżących na grobowcu, otoczonych jakby aureolą dziejów, wystawieniem bitew którym hetmanili. Ostrogscy modlą się na grobowcu i korzą, a Tarnowscy odpoczywają tylko w kościele po trudach żywota. Twórca pomnika Ostrogskich miał w myśli, że z wielkości ziemskiej po promieniu modlitwy droga do nieba, i to wyraził w pomniku. Palavini zostawił swoich Tarnowskich na ziemi wśród tryumfów, choć wiedział, że to grobowiec do kościoła. Monument Ostrogskich oryginalny, wybrany z tysiąca; Tarnowskich wzniesiony zwykłym stylem i gustem XVII stulecia. Wielkość tylko hetmana Tarnowskiego dodaje uroku temu utworowi sztuki rzeźbiarskiej.

Oba pomniki niegdyś były pomalowane i pobielone; alabastrowe, wystające ozdoby w grobowcu książąt Ostrogskich, jak: przednie nogi wspinających się rumaków, kościotrupy, drobne sztukaterye i lewa tarcz herbowa, potłukły się i odpadły. Teraz oczyszczono

(*) Opis tych pomników wyjmujemy z niedrukowanej dotąd monografii Tarnowa przez *Józefa Lepkowskiego*, pozyskawszy na to upoważnienie od autora. (Przyp. red.)

(**) Prawdziwy znawca pisze (Czas r. 1851 Nr. 150) iż nazwiska te wyczytał na przesłanych grobowcach w katedrze poznańskiej.

monumenta, co się dało przyklejono, a niektóre ułamki z gipsu dorobiono. Arcy to wybornie, jak na malarza który się tém zatrudniał, nic nie razi na ogół patrząc.

W r. 1827, w czasie restauracji kościoła, odkryto groby książąt Ostrogskich i Tarnowskich. W pierwszych w metalowych trumnach, prócz trupów, znaleziono pierścienie, krzyż cynowy i szmaty szat jedwabnych; w drugich oglądano wielki łańcuch z medalem, znaczony literami Zygmunta Augusta i srebrne blachy z napisami. Epigrafy te przytacza ks. W. Balicki; czyli zaś kosztowności owe w grobach zostały, do wiedzieć się nie mogłem.

KRONIKA

SZTUK PIĘKNYCH.

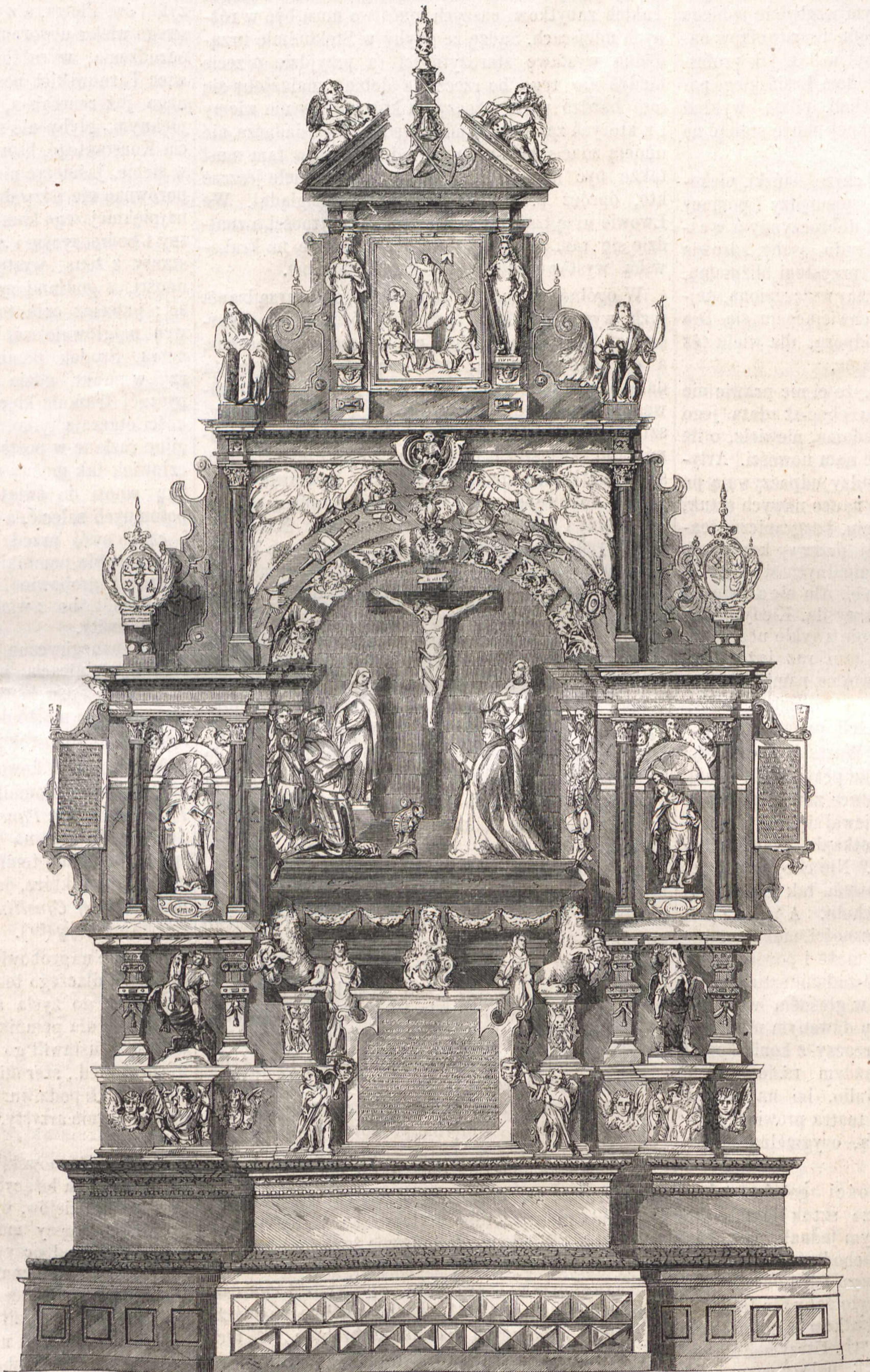
MALARSTWO.

Dość dawno nie dawaliśmy czytelnikom naszym zwykłych sprawozdań z ukazujących się na wystawie tu-tejszej przedmiotów sztuk pięknych. Milczenie to nasze usprawiedliwić po części możemy brakiem materiałów do obszerniejszego przeglądu tego, co się na polu artystycznym publicznie przez ów przeciąg czasu przesnuło. Znane i oceniane już w piśmie naszym obrazy, długo na jednym wisząc miejscu, daremnie czekały amatora, by ustąpić miejsca innym; lecz czas oczekiwania leniwo schodził, bo zwidzających mało liczyć można było, artyści zaś, po większej części rozsypani po kraju dla szukania nowych żywiołów do pracy, studyów i wrażeń, nie mogli zbyt często zasilać świeżymi płodami wystawy ciągle trwającej. Więc trudno było znaleźć wiele odmian w ubiegłej porze; dopiero gdy czas wycieczek dla zbierania materiałów przygotowawczych minął, a umysł i fantazyja artystów, skąpane w orzeźwiająjącym zetknięciu się z naturą, odżyły, wtedy i rozbudzone wrażeniami uczucia ich większą działalnością objawiać się zaczęły.

Naraz więc spory poczet nowych płócien przyszedł ożywić sale wystawy, do których dotąd kiedy niekiedy rzadki gość ciekawy zawitał. W ślad za tym napływem dzieł świeżych, pomiędzy którymi ukazały się rzeczy niepospolitej wartości, publiczność, jakby dla wynagrodzenia usiłowań artystów dbających o podtrzymanie świetności wystawy naszej, a razem jakby dla zbitcia zarzutów dziennikarskich, pomawiających ją o chłód i obojętność dla sztuki krajowej, tłumami odwiedzającami zapragnęła niejako przekonać, że choć nie często bierze ją ochota nabywać na własność obrazy, to przynajmniej chętnie im się przypatruje. Przemógłszy raz uparty wstręt jaki długo objawiała, zdziwiona spostrzegła, że i na płótnach, podobnie jak w książce, znaleźć można dosyć poematów wymownie wypowiedzianych, dosyć wzruszających dramatów, by wynieść ztamtąd niezwykle wrażenia, by wyjść z mocniejszym biciem serca i poczuć pragnienie powtórnego widzenia tego, co raz zachwycało.

Cieszymy się temi oznakami zainteresowania się, jakich obecnie publiczność nasza daje dowód przez tak liczne odwiedzanie wystawy; chcemy wierzyć, że nie są one chwilowem, kapryśnem upodobaniem, jak to złośliwi pessiści utrzymują, lecz szczerym objawem współczucia, które raz silnie poczęte, dalej rozwijać się będzie; że z niego przyjdzie do wyrobienia sądu własnego i poznania prawdziwie estetycznego; zaczem przyjdzie ta potrzeba wewnętrzna, która obok uprawy nauk, każe otaczać się i przedmiotami sztuki.

na akwarelistów francuzkich i angielskich, którym nikt dotąd w tym rodzaju malowania nie dorównywa, przyniosło mu w technice znaczne korzyści. Widać większą wprawę w czystiejszem, śmielszem kładzeniu koloru, więcej miękkości w modelowaniu, przezroczyści w silnych tonach. Najbardziej podobał się nam Pasek, bo dużo tam charakteru, zręcznego układu i przyjemnej harmonii. Pan Kossak wybornie umie posadzić jeźdźca na koniu; same zaś konie mają tyle życia i prawdy, tak są dzielne i rozumne, a każdy z właściwą sobie charakterystyką, niby fizyognomią swoją, artysta tak umiejętnie zapatruje się na naturę, że żalby nam było, gdyby chciał od trzymania się jej wiernego odstąpić i wpaść choćby w chwilową manierowość, jaka trochę się przebija w powtórnym portrecie Napoleona. Te wszakże prace jakie teraz widzimy, przez szczupłość ram swoich niepozwalające panu Kossakowi szerzej z kompozycją i obrazowością wystąpić, nie mogą dać nam miary i dokładnego wyobrażenia o wszystkich korzyściach, jakie odniósł w owym paroletnim odstępie czasu; wstrzymać się więc musimy z sądem do chwili, gdy nam do tego p. K. zręczność przedstawi, gdy jaką znaczniejszą pracą odkryje nam nową stronę swego talentu i przez nią dowiedzie, iż zdolności jego wzmogły się i spotęgniały, iż nie ograniczą się na obrazkach z pojedynczych figur złożonych, lecz przemówią do nas obrazem godnym nadziei, jakie ogół w nim pokłada. Rodzaj jego, jako malarza bitew, nastęczy mu łatwą sposobność pokazania siły swego talentu, gdy zechce szukać nietykanych prawie materiałów w historii naszej, tak rycersko wojowniczej; bo choć nie wysoko kładziemy wszelkie malowania bitew i utarczek, gdy w nich nic niema prócz wzajemnego mordowania się, i nawet z pewną odrazą na tę rzeź ludzką patrzymy, jednakże, gdy mają w sobie cechę idei wzniosłej, gdy są symbolem poświęcenia bohaterskiego, obrony, jak to właśnie w owych ciągłych zapasach narodu chrześcijańskiego z napływem barbarzyństwa miało miejsce, wówczas chętnie przyznajemy im znaczenie obrazów historycznych. Zda się nam, sądząc po dawniejszych pracach p. K., że na tém właśnie polu on najkorzystniej ze znanych nam dotąd malarzy naszych mógłby pracować; więc niecierpliwie czekamy ukazania się



POMNIK KSIĄŻĄT OSTROGSKICH W TARNOWIE.

Przejdźmy teraz sale wystawy, notując uważnie to wszystko, co spotkamy nowego, a o czem dotąd nie wspomnieliśmy czytelnikom naszym.

Zaczynamy od powitania powracającego z długiego pobytu za granicą p. Kossaka. Sympatya powszechna jaka go otacza, chęć zobaczenia co za owoce przyniosła podróż i nauka u obcych, poprowadziła nas najprzód do niego. Na pierwsze wystąpienie dał p. K. trzy akwarelle, przedstawiające: *Portret konny Napoleona III, Paska szukającego języka* i kopią z olejnego pejzażu Berghem'a, znajdującego się w Luwrze. Przyjemnie nam było spostrzedz, że zapatrywanie się

podobnego dzieła, byśmy coś więcej o tym pełnym zdolności artyście wyrzec mogli.

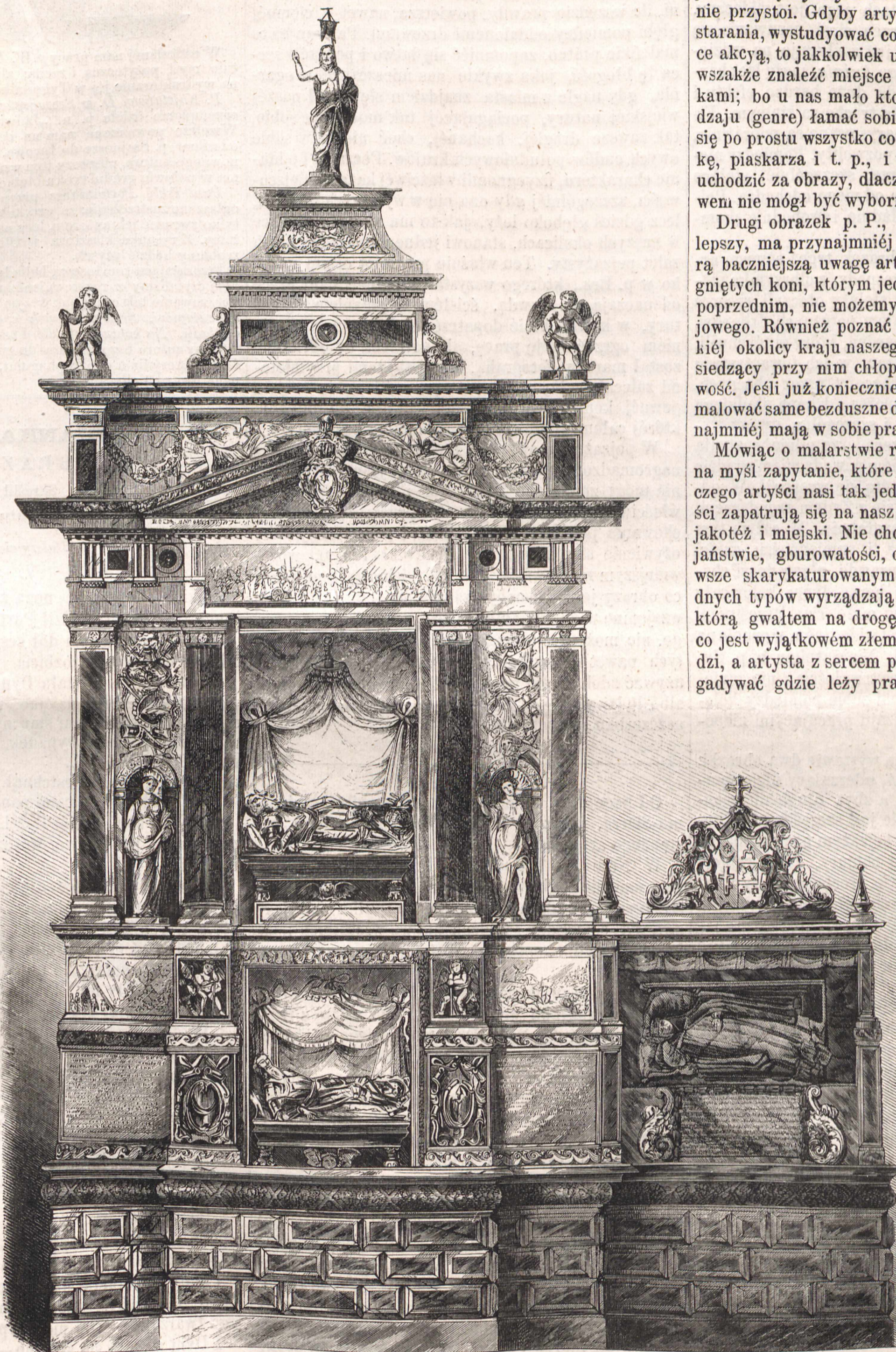
Kopia z Berghema pochodzić jeszcze musi zapewne z czasów początkowego pobytu p. K. w Paryżu, bo zbyt jest w ogóle twardą i niema w sobie charakteru robót Berghemowskich; brak tam zachwycającej owej przezroczyści powietrznej, koloru, lekkości chmur i nieba, brak nieporównanego traktowania zwierząt, tak ślicznie u Berghema okrągłych się i odstających, że prawie sierści dopatrzeć można, słowem nie dość zachowano zalety najwybitniejsze w pejzażach hollenderskiego malarza. Wystawieniem

tę kopii, sądzą, chciał dać dowód p. Kossak, iż w pobycie swoim zagranicą umiał wybierać mistrzów mogących go nauczyć tajemnic pejzażów, tak ściśle wiążących się z jego wybranym rodzajem.

Upodobanie ojców naszych w koniach odbija się, choć w inny sposób, w nowym pokoleniu; pomiędzy artystami wielu chętnie wybiera je za przedmioty prac swoich, u publiczności zaś podobne obrazy najłatwiejsze także znajdują powodzenie. Do liczby właśnie tych artystów, wyłącznie prawie malujących konie, należy p. Brodowski. Treścią jego obrazu jest ustęp z Mohorta, przedstawiający chwilę przybycia Ksawerego Krasińskiego do obozu obrońcy kresowego. Suto zaprezentować się chciał młody zaciężny rycerz, jak to na potomka znakomitej rodziny przystało; a że największe bogactwo i popis żołnierza w pięknych a dzielnych i rącznych koniach, więc też sporą ich liczbę przyprowadził z sobą. Kilka wierzchowców, przy ładownej bryce stojących, jest przedmiotem uwagi starego wojaka; konie te dobrze się przedstawiają i przypuszczamy że z ich widoku mógł być zadowolony niepospolity znawca na nie, Mohort. Nie stoją one wprawdzie dość prosto i silnie; lecz to jeszcze złożyłoby się dało na karb odległej podróży, jaką przebyły; ale przebaczyć nie mogę postaci samego Mohorta. Któżby domyślił się w tej zbiedzzonej, drobnuchnej, niepewno trzymającej się figurce, owęj posagowej postaci bohatera, tak poetycznie a wyraźnie odmalowanej przez Pola; najslabszych nawet wymagań nie zdolna ona zaspokoić. Toż samo powiedzielić trzeba i o p. Ksawerym, w którym, podobnie jak w Mohorcie, nigdzie nie widać poczucia kształtów ludzkich. Radzilibyśmy bardzo p. Br. przy malowaniu ludzi studiować naturę, bo spuszczać się na pamięć tylko, powinienby się przekonać, jak bardzo go ona myli. Więcej już natury widać w zwierzętach; szczególnie parę chartów spokojnie przypatrujących się na budzie bryki, jest doskonałą. W pejzażu za mało powietrza i wyrazistego planowania oddalających się przedmiotów.

Trudno nam określić jaki jest rodzaj p. Pillatego. Marynarki i sceny szynkowniane, batalie i historia, żebracy i portrety konne, nic słowem nie jest mu niedostępnym. Dowodziłoby to zapewne wielkiego ta-

lentu, godnego swą wszechstronnością podziwienia, gdybyśmy pomiędzy temi różnorodnymi rzeczami znaleźć mogli choć kilka z większym zamiłowaniem wykończonych. Tymczasem p. P. wszystkie rodzaje jednakowo traktuje, z równym zaniedbaniem, z pośpiechem, który zdaje się wzrastać u niego w sposób zaskakujący. Jeśli dalej iść będzie raz przyjętą metodą, ciekawi jesteśmy na czem skończy. Jakby na przekór głębokiej prawdzie, powiedzianej kiedyś przez



POMNIK JANA I KRZYSZTOFA TARNOWSKICH W TARNOWIE.

znakomitego myśliciela francuzkiego: *le génie, c'est la patience*, p. P. chce dowiedzieć, że geniusz (a któż go dziś nie ma?), leży w jednym rzucie oka lub ręki, w nagłości wykonania, w jak najpospieszniejszym o ile można szkicu. Czasami wprawdzie łatwiej darować pewne zaniedbanie wykończenia, gdy o nim każą zapominać niepospolite charaktery, uczucie koloru, co się niekiedy daje spotykać w pracach p. Pillatego; lecz tam gdzie tych zalet uczucia niema, jak np. w dwóch jego obrazkach na wystawie, tam szkicowe

malowanie, pozbawione wdzięku, wygląda na niedbałość i lekceważenie, wady które pewno artyści do wysokości nie doprowadzą. *Chłop z furą drzewa* w ziemi jadący, mieści w sobie wszystkie ujemne strony właściwe autorowi, nie posiadając dla zrównoważenia ich żadnej wybitnej zalety. Brak rysunku, proporcji pomiędzy figurą idącą, furą i końmi jest uderzający; koniki nieznanej u nas rasy i charakteru; przytém bułany, którego całego widać, jest narysowany tak, jak na artystę często z końmi mającego do czynienia nie przystoi. Gdyby artysta był chciał przyłożyć doń starania, wystudować cokolwiek szczegóły stanowiące akcją, to jakkolwiek uboga kompozycja, mogłaby wszakże znaleźć miejsce między rodzajowymi obrazkami; bo u nas mało kto uważa za potrzebne w rodzaju (genre) łamać sobie głowę nad myślą; maluje się po prostu wszystko co się zdarzy: Żyda, gałganiarkę, piaskarza i t. p., i te oderwane postacie mają uchodzić za obrazy, dla czegożby więc i chłop z drzewem nie mógł być wybornym przedmiotem?

Drugi obrazek p. P., *wóz przed karczmą*, trochę lepszy, ma przynajmniej w sobie małą część, na którą baczniejszą uwagę artysta zwrócił: parę wyprężonych koni, którym jednak, niestety, podobnie jak poprzednim, nie możemy przyznać pochodzenia krajowego. Również poznać nie jesteśmy w stanie, z jakiej okolicy kraju naszego być może wózek, chociaż siedzący przy nim chłop przypomina nam miejscowość. Jeśli już koniecznie przyszło malarzom naszym malować same bezduszne drobnostki, niechże one przynajmniej mają w sobie prawdę i podobieństwo natury.

Mówiąc o malarstwie rodzajowym, przychodzi nam na myśl zapytanie, które często sobie zadajemy: dlaczego artyści nasi tak jednostronnie po większej części zapatrują się na nasz lud prosty, tak wieśniaczy, jakoteż i miejski. Nie chcą go pojąć inaczej jak w pijaństwie, gburowatości, odrażającym upadku, a zawsze skarykaturowanym. Przez dawanie tych ohydnych typów wyrządzają krzywdę narodowi i sztuce, którą gwałtem na drogę poniżenia spychają. Tego co jest wyjątkowym złem, za prawdę brać się nie godzi, a artysta z sercem powinien lepiej od innych odgadywać gdzie leży prawda, za którą uchodzić nie

może żadna zgnilizna, żadne zбочzenie od praw Bożych.

Jakież to szpetne wyobrażenia dają nam o ojczyźnie malarzy flamandzkich obrazy rodzajowe dawniej ich szkoły. Obrażając dobry smak i uczucie prawdziwie piękna, pomimo całej wyborniej techniki (której w naszych nie widać), nie mogą służyć za wzory godne zapatrywania się; wtedy gdy utwory wszystkich innych szkół ówczesnych, pojmujących sztukę ze strony jej duchowej, idealnej, służą po dziś dzień za jasne świeczniki wstępującym w krainę sztuki pracownikom. Jeśli więc chcemy by dzieła nasze nie ograniczały się na chwilowem, efemerycznym powodze-

niu (przypuszczając że je znaleźć mogą), lecz przetrwały czas życia naszego, a nie zostały ze wstrętem od późniejszego pokolenia odepchnięte, pracujmyż trwale, budujmyż dzieła, czerpiąc natchnienie w czystym źródle ducha, którego promień błyszczyć powinien na każdym najprostszym nawet utworze. Wówczas sztuka śmiało przybrać będzie mogła nazwisko pięknej, artyści ją uprawiający policzą się do pożytecznych pracowników kraju, i wtedy pewno mniej słyść będziemy narzekania na obojętność ogółu.

Do kategorii tych niemiłych dla naszego oka płócien, policzyć musimy i nowoprzybyły na wystawę obraz p. Petzolda: *kumoszki w szynkowni*, którego treść, obok niepoprawności rysunku i ciężkości malowania, właściwej temu artyście, w liczbie ostatnich pomieścić go każe.

P. Sypniewski najwięcej maluje sceny dawne rycerskie, więc często konie, bitwy i t. p. Patrzymy starannie na ciąg jego prac nierzadko zjawiających się na wystawie i przyznać musimy z prawdziwą przyjemnością, że postęp w robotach jego jest widoczny. Znać szczerą, sumienną pracę, chęć posuwania się naprzód, a za takie oznaki już zasługuje na wdzięczne, zachęcające słowo. Jego *kuźnia*, mały lecz bardzo udatny obrazek, posiada dużo bardzo efektu i harmonię w tonie, choć może trochę za zimnym. Figurki z dobrym ruchem, narysowane są poprawnie, o ile drobne rozmiary na to pozwoliły. Pomiedzy nimi jest przestrzeń i powietrze; szczególnie stojące przy białym koniu wybornie od niego odchodzą. Pejzaż dopełniający całości ładnie i swobodnie skomponowany.

Zakład, drugi większy obrazek tegoż samego artysty, przedstawia wnętrze gospody, z olbrzymim piecem w głębi; na środku stół stojący otoczyli rycerze w zbrojach, zajęci wychylaniem potężnych dzbanów, miodu zapewne. Książę bernaryn, który w tej chwili, może po kweście przychodząc, w ich towarzystwie przypadkiem się znalazł, zachęcony przez obecnych, próbuje sił w wychyleniu sporego dzbana słodkiego napitku. Z niedowierzaniem i szczególną uwagą wytrawni w takich zapasach szermierze pilnie wpatrują się w pijącego, ciekawi z jakim powodzeniem wyjdzie nowoprzybyły z próby na którą się wystawił. W oddaleniu inni goście obliczają się z Żydem arendarzem, usługującym koszlawo i niezgrabnie. W całym tym obrazku widać dużo starania i sumiennosci; części z natury wykończone mają prawdę, głowy dosyć charakteru, z wyjątkiem może bernaryna; kolor cały przyjemny, trochę jednak za mało czuć przestrzeni powietrznej, co najbardziej jest widocznym w grupie na prawo pod piecem siedzącej. Nie wątpimy że p. Sypniewski, pracując dalej z wytrwałością i nie zaniebując pomocy natury, wyrobi sobie pomiędzy kolegami w podobnym jemu rodzaju pracującymi niepoślednie stanowisko.

P. Gersona znajdują się na wystawie dwa obrazki: *juchas w górach tatrzańskich*, uderzający nieproporcjonalnie małą główką, a zbyt długimi nogami; (*) przytępnym ruch figury nie jest szczęśliwie wybrany. Pejzaż otaczający, jeśli pejzażem nazwać można tło z bawelnasto zrobionej chmury, zakrywającej szczyt skały, bez nieba prawie, trochę murawy i kamieni niezbyt wystudowanych, niewiele przyczynia się do uwydatnienia głównej figury. Całość, pozbawiona zupełnie światła, malowana jest inną jakąś metodą, niżli to co dawniej z prac tego artysty znałiśmy.

Szczyty Morskiego oka mają ten sam charakter malowania co i poprzedni obrazek, takż sam brak światła i pewności koloru; ogołocenie pejzażu z nieba, jak to w obydwóch ma miejsce, niekorzystnie musi wpływać na całość krajobrazu, w którym niebo tak ściśle z ogółem się wiąże; przez to nawet praca taka zakrawa raczej na pomocnicze studium, niżli na skończony obraz. Zapewne autor niewiele sam musiał przywiązywać wagi do tych ostatnich robót swoich; rozmiarami równie jak wykonaniem, wydają się one za drobne, nam, cośmy przywykli do lepszych dzieł jego. W pejzażu nie znajdujemy tej prawdy i natury, jaką dawniej tam spotykaliśmy, drzewa w rysunku i wystudowaniu zaniedbane, mało rozmaitości tonów, toż samo w górach i skałach. Od artysty z więcej rozpowszechnionym imieniem mamy prawo żądać, by dołożeniem starania i postępnym widoczniejszym wzięciem swą popierać usiłował. Niejednym obraz p. G., z uczuciem i talentem zrobiony, na długo nam w pamięci został, wiemy więc ze stać go na dobre rzeczy; dlatego też mniejsze i słabszej wartości utwory, dalekie od zaspokojenia nas, każą nam oglądać się za czems lepszym, stojącym na równi z jego zdolnościami.

(*) Zdanie to naszego sprawozdawcy nie zupełnie jest uzasadnione; wiemy bowiem z naocznościami przekonania, że górale tatrzańscy odznaczają się istotnie uderzająco małymi, w stosunku do długości korpusu, głowami. O ile też nam wiadomo, jest to studium przez p. Gersona z natury wykonane. (Przy. red.)

Pomiedzy pejzażami nowymi do najlepszych policzyć trzeba dwa małe widoczki p. Brzozowskiego: *Kościółek wiejski* i *Ruiny zamku ciechanowieckiego*. Pierwszy przedstawia trochę drzew w massach, na ich tle rysuje się drewniany, zniszczony, lecz malowniczy nasz polski kościółek wiejski; środkiem łączka, przez którą bieży strumień. Treść niebogata, a mimo to jakż to śliczny pejzaż. Co za czyste, świetne a prawdziwe niebo, jak ta chmurka, błyszcząca światłem słonecznym, wybornie zawisa w przestrzeni, ile wszędzie prawdy, powietrza, nawet w ciemnej głębi pomiedzy oddalonymi drzewami. Patrząc na to małe płótno, zapomnieć się łatwo i pocuć w sercu tę błogość, jaka zwykle nas mieszczuchów ogarnia, gdy nagle z miasta znajdziemy się wśród naszej wiejskiej natury, pociągającej tak mocno ku sobie, tak zawsze drogiej, kochanej, choć niema w sobie owych cudów południowych krajów. Poczucie i oddanie charakteru, fizjonomii właściwej każdej miejscowości, szczególnie gdy ona nie w wybitnych cechach, lecz gdzie głęboko leży, jak to ma właśnie miejsce w naszych okolicach, stanowi jedną z bardzo wielkich zalet pejzażysty. Ten właśnie przymiot cenim wysoko w p. Brz., którego wszystkie znajome nam prace odznaczają się prawdą, ściśmym trzymaniem się natury, w której umie dopatrzeć tyle uczucia i tyle niemi ogrzać swoją pracę, ile potrzeba by obraz nie został martwą fotografią. Mniej się temi przymiotami zalecają ruiny zamku; tu pozwolił sobie artysta pewnej konwencyonalnej manierowości, do unikania której całymi siłami pragnęlibyśmy go nakłonić.

W pejzażu zimowym p. Ruśkiewicza, nawet śnieg nagromadzony, puszystością swoją i jasnością barwy, nie mógł zmieknąć twardości i suchości artyście właściwej. Radzilibyśmy p. R., prócz większego zachowania perspektywy linearniej i powietrznej, aby ożywienie swych pejzażów zostawiał innym, wprawniejszym w rysowanie figur ludzkich artystom, przez co obrazy jego pewnoby zyskały. Dopomaganie sobie wzajemne w dopełnianiu słabszej strony talentu swego, nie może być ubliżającym; wszak wielu znakomych nawet mistrzów dawniejszych nie wstydziło się używać zdolnej ręki kolegów, dla dorabiania zwierząt albo ludzi w pejzażach, przez co wszakże sława ich uszczerbku nie ponosiła.

(Dokończenie nastąpi.)

Od naocznościami świadka i uczestnika bitwy pod Samo-Sierrą, proszeni jesteście o wydrukowanie następnego artykułu.

W Nrze 55 Tygodnika Ilustrowanego czytamy wspomnienie o bitwie pod Samo-Sierrą, którą rozstrzygnął szwadron lekkokonnego pułku polskiego gwardyi cesarskiej. Widząc nie we wszystkich punktach dokładne opisanie szarży, winienem je sprostować.

Kiedy szef szwadronu Koziętulski, komendant służbowego szwadronu przy cesarzu, złożonego z trzeciej kompanii kapitana Dziewanowskiego i siódmej będącej pod dowództwem Piotra Krasieńskiego, dostał rozkaz zdobycia silnej pozycji pod Samo-Sierrą, uformował ten oddział czwórkami, bo droga którą szarżować mieliśmy nie dozwalała szerszego frontu. Koziętulski na czele szwadronu wpadł cwałem do wąwozu, wśród gradu kul armatnich, kartaczy, a jeszcze więcej morderczego ognia ręcznej broni piechoty hiszpańskiej, rozstawionej po wzgórzach wzdłuż rzeczoności wąwozu. Celem wszystkich strzałów był na czele jadący szef szwadronu Koziętulski; wkrótce też ubito pod nim konia. Wtedy kapitan Dziewanowski, objawszy komendę, zboczył na lewo drogi, wpadł na baterie nieprzyjacielskie, a za nim cały szwadron, wybiwszy kanonierów i rozproszywszy piechotę w assekuracji armat stojącą, wrócił na drogę i w najsilniejszym ogniu kartaczowym szarżował na drugą baterię. Przybywszy przed nią, Dziewanowski został ugodzony dwiema kulami, jedna mu rękę, druga nogę urwała. Wtenczas przypada kompania Piotra Krasieńskiego i zdobywa działą, po zaciętej walce z piechotą hiszpańską, ale tak mocno przeczczona, że z officerów jeden tylko porucznik Zielonka pozostał. Krasieński pod silnym ogniem kartaczowym zbiera pozostałych żołnierzy, uderzamy na tę baterię, która nas tak silnie kartaczami obsypuje, zdobywamy ją, a nasz dowódca, ranny od wystrzału armatniego, pada bez przytomności.



W nadesłanej nam pracy p. W. Ł. w *Kaliszu* uznajemy chętnie myśl pożyteczną i zącą; zbyt trywialna jednak forma na wydrukowanie jej w *Tygodniku* nie pozwala.

P. *Kajetanowi D. w Szczuczyniecach*. Prenumeratę na dwa egzemplarze dzieła p. n. „*Jadwiga i Jagiello*“ odebraliśmy. Wszelkie powierzone nam na cel ten pieniądze zostały już odesłane p. Szajnosze do Lwowa. Według zapewnienia szanownego autora, pierwszy tom wzmiankowanego dzieła wyjdzie ma w połowie grudnia roku bieżącego.

Pani Tekli Poznaniance przypominamy kilkakrotnie już ogłaszane zastrzeżenie: że artykułów mniejszej objętości nie tylko zwracać ich autorom, lecz nawet przechowywać nie możemy. Z rysunku klasztoru w Ołoboku w właściwym czasie zrobiony będzie użytek.

Przerazająco-romansową balladę p. *Władysława Apolliniego* czytaliśmy z rozrzewieniem. Bo i kogóż nie wzruszy obrazowanie tak czule, jak w tym naprzykład ustępie: *Amłodzi zatopieni, Śród miłosnych spojrzeń* (Tak!), *Zerwali się i zbladli, Na kolana upadli* i t. d. Radzi nieradzi, zaliczyć musimy autora tego wiersza do gatunku *Szarańczy papiéróžerczej* (Acrydium papyrophagum), w Nrze 56 naszego pisma naukowo zdefiniowanej.

HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom. Jez.

(Dalszy ciąg.)

V.

Takiego to ptaszka, noga za nogą, zatrzymując się i poprawiając, prowadził Parfeni z góry na dół.

Lecz zanim na sam dół zeszli, przyszli pierwój na miejsce wózkowego rozbicia.

— A to co?.. zapytała Dynia.

— To pani dobrodziejko, to moich rodziców bryczka... odrzekł Parfeni smutnym głosem.

— A, to smutny wypadek... powiedziała jakby do siebie. I koń zabity!..

Parfeni głęboko westchnął.

— Cóż się z rodzicami pana stało?... zapytała.

— Nie wiem.... mój Boże!.. pani dobrodziejko.... z głębszym jak pierwój westchnieniem odpowiedział Parfeni.

— Może jakie nieszczęście... zauważyła Dynia z lekkim w głosie spółczucia akcentem.

Na wyraz „nieszczęście“ Parfeni drgnął całym ciałem i pierś mu się ścisnęła.

Hrabianka spojrzała na niego i widziała, jak dwie duże łzy zawisły mu z razu na powiekach, a potem spadły i stoczyły się po policzkach. Nic nie powiedziała. Te dwie łzy wywarły na niej dziwne wrażenie. Bo nie popłynęły w płaczącym skrzywieniu, karykaturującym twarz mężczyzny, ale wycisnęły się ze żreńnic jakby mimowolnie i brylantowo zajaśniały na tle oblicza męskiego, zdrowego, opromienionego wyrazem rozumu i odbiciem hartu duszy. Na tém obliczu, wydawało się, łąza postać nie powinna. A ponieważ pojawiła się, więc wycisnąć ją musiało coś bardzo potężnego.

— Co te łzy wycisnęło?.. w cichości Dyninego sumienia zaszemrało zapytanie.

— Synowska miłość... odpowiedziało jej sumienie.

I znów spojrzała na Parfeniego. Łez już nie widziała, ale cichy, głęboki smutek rozlany na całej jego twarzy, na całej niemal postaci.

I Dyni zrobiło się smutno — smutno, pierwój raz w życiu. Dotychczasowe bowiem jej życie tak się zastosożywało do jej humoru, a humor do życia, że smuć się nie miała nigdy powodu. Bo cóż to za smutek, pochodzący z drobnej jakiejś przykrości? To tylko zmartwienie, które jak przyszło, tak poszło, bez zostawienia śladu po sobie, zmartwienie powierzchowne, nie sięgające głębi serca. A teraz, pierś się jej ścisnęła i do ócz tłoczyły się łzy. Panowała jednakże nad sobą milczeniem. Szła w cichości. Tylko jej usta od czasu do czasu ściągały się i drgały, tylko jej oczy kiedy niekiedy zwracały się na Parfeniego.

Co to się jej stało, jej, salonowej filozofce?

Po odpowiedź na to zapytanie odsyłam czytelnika do poprzedzającego rozdziału, do tego miejsca, w którym się mówi, że „hrabianka Dynia doszła już do tej doskonałości, iż nie można było domyślać się, aby w jej sercu tłała jeszcze iskierka jaka.“ A może tłała, kto wie?.. Pod tym względem o bohaterce naszej nic jeszcze z pewnością powiedzieć nie mogę.

Ale za to powiedzieć mogę z pewnością, że żadna tego rodzaju iskierka nie tłała w sercu hrabiego. On bowiem, przechodząc przez miejsce w którym leżały szczątki bryczki Suchobrodzkiej, nawet nie spostrzegł tego, a dopiero, będąc już prawie na dole, przypomniał sobie, i to w następujący sposób:

Odsapnął, parsknął jak koń i począł stękać, a wystękawszy się powiedział:

— Lepiejby było jechać, jak iść piechotą...

Nikt mu na tę, bardzo zresztą słuszną, uwagę nie odpowiedział, a on, odetchnąwszy, ciągnął dalej, zwracając mowę do Parfeniego:

— Nie przyszło mi na myśl powiedzieć asanu, abyś sprowadził jaką bryczkę z miasta...

I na tę, już niesłuszną, bo za późną uwagę, nikt nie odpowiedział. Dynia tylko spojrzała na Parfeniego z takim w oczach wyrazem, jakby jej wyrzeczony przez ojca słowa przykrość sprawiały. Hrabia zaś, raz wpadłszy na przedmiot uwag, coraz lepsze robił:

— Nie przyszło mi na myśl posłać asana po doktora... To byłoby najkrótszym... Doktor byłby przyjechał, opatrzył nas i zawiózł do miasta...

A po chwili milczenia dodał:

— Ale asan byłbyś się zagawronił w mieście...

— Mój papo! co też papa mówił.. przerwała hrabianka. Ten pan taki grzeczny... i dobry...

Parfeni z wyrazem wdzięczności popatrzył na swoją obronicielkę.

— A gdyby się był z kim spotkał, z rodzicami na przykład... rzekł hrabia na poparcie swego posądzenia. Gdy poszedł po bryczkę, to siedział pół godziny, jakby za morze chodził, a bryczka była o kilka kroków... i powrócił z niczym...

— Wszakże papa wie, że bryczkę tego pana nasz powóz połamał... odparła Dynia.

— To tém bardziej nie było czego pół godziny siedzieć...

— *Allons donc papa!* rzekła Dynia niecierpliwie. Co mówisz o pół godzinie, kiedy i pięciu minut nie było.

— Dla ludzi—sentencyonalnie zauważył hrabia, w takim jak my znajdujących się stanie, minuty są godzinami...

A po dość długiej chwili milczenia, zapytał Parfeniego:

— Cóż się z rodzicami asana stało?..

— Nie wiem... odrzekł zapytany sucho i krótko.

— Widziałem, zdaje mi się konia zabitego...

Parfeni nic nie odpowiedział.

— Może—ciągnął hrabia, i które z rodziców asana poszwankowało; może jest zabójstwo, albo złamanie jakiego członka... To byłoby doskonale... Wszystko to asan znotuj i wciągnij do skargi, gdy memu furmanowi proces wytoczysz... Ja poprę...

— Ja nikomu procesu wytaczać nie myślę... powiedział Parfeni drżącymi od silnego jakiegoś wewnętrzznego wzruszenia ustami...

— To byłoby głupio, mój panie, zestrony asana... odrzekł mu na to hrabia, i dodał po chwili:

— Przyszliżno mi asan swego ojca albo matkę; gdy będziemy w Nadwórny, to jazniemi pogadam... O! ja tego łajdaka dojadę...

Gadanie hrabiego niecierpliwiło hrabiankę, a niecierpliwość zneutralizowała w niej wrażenie smutku, doznane z powodu łez na Parfeniego twarzy. Gadanie to niecierpliwiło także i Parfeniego i natchnęło go życzeniem jaknajprędzszego opuszczenia towarzystwa hrabiego. Żal mu było dobrej pani, ale do pana poczuł i wstręt i obrzydzenie, pomimo uczucia politowania, jakie w nim jego zakrwawione i pobite oblicze wzbudzało.

Życzenie jego wkrótce się spełniło. W Nadwórny rozstał się z Dynią, która mu na rozstaniu powiedziała:

— Spodzielam się, że jeszcze pana zobacze....

— Nie wiem, pani dobrodziejko... odpowiedział Parfeni — pójdę szukać rodziców... Nie wiem gdzie i kiedy ich znajdę...

— Jeżeli nie w Nadwórny, to w Hylkach zobaczę się z panem.. Proszę pana, bardzo proszę... — mówiła łagodnym a błagalnym tonem. Mieszkamy w Hyl-

kach; nazywamy się Wierzgalscy... Hrabia Wierzgalski... Niech pan o tém nie zapomni... A gdybyś pan zapomniał, tobyś mi wielką, wielką przykrość i krzywdę wyrządził...

— Może... pani dobrodziejko... nie wiem... ale... wyjąknął nasz kleryk.

— Tylko bez wymówek... przerwała Dynia. Jak się pan nazywa?..

— Parfeni Suchobrodzki...

— Parfeni Suchobrodzki?.. wymówiła hrabianka pytającym tonem; a gdy te dwa wyrazy wymawiała, to naszemu bohaterowi wydało się, że on najpiękniejsze, najdźwięczniejsze nosi imię i nazwisko.

— A gdzie mieszka?..

— W Hnilkach...

— O!.. podchwyciła—jak to dobrze!.. Hylki i Hnilki... Jakie to podobne brzmienie!.. To pan nie zapomni... A proszę do mnie przyjechać...

„Do mnie“ było z takim przyciskiem wymówione, jakby hrabianka chciała dać Parfeniemu do zrozumienia, że on jej, a nie jej ojca będzie gościem. To na stanowczą zdecydowało go odpowiedź:

— Przyjadę, pani dobrodziejko... przyjadę... Będę się starał... Będę się całymi siłami starał...

— No, pamiętajże pan... I pogroziła mu paluszkami i podała mu rękę.

Parfeni z uszanowaniem pocałował ją w rękę i odszedł. Na odchodzeniu zrobiło się mu z razu tak, jakby mu coś w sercu pękło. Radby był się wrócić i powiedzieć:

— No, kiedy mnie pani zaprasza, to lepiej że zostanę i odprowadzę panią do tych Hylek.

Ale mu o rodziców chodziło.

— Gdzie ich szukać?

— Nie gdzie indziej—zdawało mu się—tylko na miejscu rozbicia. Tam, jeżeli ich jeszcze niema, to przyjdą... jeżeli nie oboje, to jedno z nich.. ojciec albo matka...

A jeżeliby żadne nie przyszło, to obowiązkiem swoim być sądził pozbiierać szczątki na drodze rozrzucone.

Pociągnął więc napowrót w górę, a gdy szedł, to mu się ciągle trzy wyrazy po myśli kręciły:

— Hylki, Hnilki i hrabia Wierzgalski.

I stała mu w wyobraźni postać kobiety, pani, trochę zmięta, przysypana kurzawą i poznaczona sińcami, ale za to tak mile przemawiająca i tak dźwięcznie wymawiająca:

— Parfeni Suchobrodzki...

Zastanowił się jednakże nad tém:

— Jak tej pani na imię?..

— Czemuż się nie spytałem?.. czynił sam sobie wymówkę.

I natychmiast tłumaczył siebie sam przed sobą:

— Ten wypadek z moimi biednymi rodzicami odjął mi pamięć i przytomność... musiałem.. musiałem..

Chciał powiedzieć: „złe się wydać“, ale nie umiał jakoś odszukać tego wyrazu, który byłby nieprawdą, bo właśnie z powodu wypadku z rodzicami wydał się jaknajlepiej.

— O! mój tatu, o moja mamol.. gdzie wy?..

Tym razem nie samo już tylko echo miało mu odpowiedzieć. Zdaleka bowiem ujrzał na drodze wóz zaprzęgniony wołami, stojący na miejscu rozbicia, a przy wozie jakiegoś człowieka i kobietę. Równocześnie prawie o uszy jego obił się głos, rozlegający się niekiedy i raptem ustający, podobny do tego, który lud nasz na Rusi nazywa *zawodzeniem*. Jest to żałośny płacz śpiew. Parfeni przyspieszył kroku. W kobiecie poznał matkę.

— Synu mój... Parfumu mój!.. zawołała ta ostatnia, zobaczywszy go zdaleka. Dzieckoż ty moje jedyne, a miłe, ta lubel!..

I podbiegła ku niemu i pochwyciła go w objęcia. Rzewne łzy polały się jej z oczu.

Parfeni także zapłakał, chociaż jeszcze nie znał przyczyny. Poczuli jednakże (bo nie domyślił się, gdyż nie miał czasu pomyśleć), przeculi że matka nie płakałaby tak nad wózkiem i rupieciami, ani nawet nad konikami.

Płakała Suchobrodzka, a ścisła i tuliła do siebie syna, i ciągle powtarzała:

— Moje ty dziecko!.. moje, a jedyne!..

— A tato?.. A tato?.. Gdzież oni?.. zapytywał Parfeni.

— Twój ojciec... oh!.. kona!.. wyłkała nareszcie Suchobrodzka i zaniosła się płaczem.

Parfeniemu zrobiło się zarazem i zimno i straszno.

Po płaczu matki sądząc, spodziewał się tę straszną usłyszeć wiadomość, a jednakże wydała się mu ona niespodziana. Przesłał raptem płakać, jakby mu łez zabrakło, i stanął nieruchomie jak posąg.

— Parfumu!.. synu!.. przemawiała jeszcze matka.

On nie nie odpowiadał.

Suchobrodzka się złąkla.

— Co ci Parfumu?..

Parfeni z razu nic nie odpowiedział, ale po chwili westchnął głęboko, i jakby mu to westchnienie mowę przywróciło, zapytał matki takim niemal tonem, jakim oświadczył hrabiemu że procesu wytaczać nikomu nie myśli:

— Gdzież jest mój konający ojciec?..

Suchobrodzka, wiedzona tym instynktem żalu, co to umie się do harmonii społecznego nastroić, także przestała płakać, a z troskliwą niespokojnością spoglądając na syna, odpowiedziała mu ze spokojem rezygnacji:

— Chodźmy, moje dziecko, chodźmy do ojca... on musiał już przyjąć ostatnie pomazanie...

A obracając się do człowieka który stał przy wozie, rzekła:

— Pozbierajcie to, gospodarzu, sami i zwieźcie na dół te graty... Może tam jeszcze da się co wybrać.

To powiedziawszy, poszła przodem, a Parfeni za nią.

Zanim oni zejda, my mamy czas opowiedzieć, jak to aż do tej przyszło ostateczności, że Parfeniemu zagroziło sieroctwo.

Przypomnieć sobie raczy czytelnik to powolne wjeżdżanie wózka na górę, to częste przystawanie starych koników i tę gawędkę, która pomiędzy starymi Suchobrodzkiemi się toczyła. Dodać jeszcze muszę, iż koniki miały ten zwyczaj, że jak stanęły, to musiał Jakub dobrze nad niemi nawywijać batogiem i nawołać się „wio! wio-ho!“ zanim ruszyły. Lejcami ich nie szarpał, wędzidłami im nie dokuczał: pierwsze spoczywały przywiązane do półdrabka, a drugich wcale nie było.

Owóz kiedy koniki tak sobie szły więcej niż powolnym stępem, i kiedy Suchobrodzcy sobie gawędzili, raptem, niby piorun spadający z nieba, zjawił się rozpędzony powóz. Jakub poskoczył po lejce; ale zanim zdołał je w garść pochwycić, już front rozbieganęj czwórki tak był blisko i tak prosto dyszlem na dyszel spadał, że nie było ani czasu ani miejsca wykręcić konikami. Zaledwie Jakub mógłby był zeskończyć na bok. Ale on zapomniał o sobie. Chciał ratować koniki. Porwał lejce, — wywinął batogiem, — nawet, co było wbrew jego zwyczajowi, smagnął z całej siły jednego konika. Koniki, uprzedzone instynktem o grożącym im niebezpieczeństwie, szarpnęły się, skoczyły, ale jeden w jedną, drugi w drugą stronę. Jakub ściągnął lejce, i w tej chwili trzask i łoskot go ogłuszył. Oczy jego zakryła czarna jakaś ni-by chmura. Lejce i batóg z rąk mu wypadły. Uczuł się porwanym i zmiętym. Całe ciało go zabolalo, jakby mu się wszystkie na raz kości połamały. Przytomność go opuściła.

Suchobrodzka znajdowała się bardzo blisko, o kilka zaledwie kroków. Z boku stojąc, spostrzegła ona całe niebezpieczeństwo męża, i poskoczyła, chcąc go na stronę odciągnąć; ale nie zdążyła. Koń orczykowy potracił ją i na wznak wyrzucił. Zerwała się biedna kobieta i załamała ręce. Szczątki wózka odwleczone były o kilkadziesiąt kroków niżej, a jeszcze dalej leżało zmięte ciało Jakuba. Suchobrodzka pospieszyła do tego ostatniego.

— Jakubie!.. zawołała.

Jakub był głuchym na jej wołanie.

Zrobiło się jej łzawo, okropnie. Gotową była wybuchnąć łkaniem i w płaczu się rozpląnąć. Lecz myśl o potrzebie spieszego ratunku i nadzieja ocalenia męża stłumiły łzy w jej piersi. Schyliła się nad Jakubem. Z niego płynęła krew. Płynęła mu z głowy, i z twarzy, i z ust, i z rąk, i z nóg. Suchobrodzka dotykała się jego członków, opatrywała go, lecz tyle tylko mogła dojść, że on oddycha, że jeszcze żyje. Jak to życie w nim zatrzymać? tego nie wiedziała; lecz o tém wiedziała, że są ludzie, którzy umieją pomódz naturze i nie dać zgasnąć iskrom życia, jeżeli Bóg nie zawyrokował jeszcze śmierci stanowczo i nieodwołalnie. Udać się przeto do tych ludzi po ratunek, to było najpierwszą Suchobrodzkiej myślą.

A nad tą myślą nie namyślała się ona długo. Nie zapytywała siebie: trzeba się spieszyć, czy nie?.. Miłość jej dla męża i niespokój wewnętrzny jakiegoś doświadczenia, stanowczo a z góry rozwiązały to pytanie. Również nie zapytywała siebie: jakim sposobem do pośpiechu brać się należy?.. I to pytanie rozwiązały miłość i niespokój. Nie szła więc po syna, nie oglądała się, nie czekała, tylko: wzięła Jakuba na ręce i poniosła do Nadwórny; żeby zaś i jej i jemu było dogodniej, włożyła go sobie na grzbiet.

I tak z potłuczonym i chrapiącym ostatkiem życia mężem na grzbiecie, weszła Suchobrodzka do miasteczka. W miasteczku ciekawo zatrzymywali się i przypatrywali jej, a ona dopypywała się o doktora, o księdza i o izbę dla chorego.

— Chodźcie do mnie, kochanie!... powiedział jej jakiś mieszczanin. U mnie znajdzie się izba i posłanie, i do mnie można będzie księdza i doktora sprowadzić...

Suchobrodzka przyjęła ofiarę. Mieszczanin, wezwawszy pomocy znajomych, zdjął jej ciężar z grzbietu, zaniósł do domu swego na przedmieściu i złożył chorego na własnej pościeli. Sprowadzony natychmiast lekarz, opatrzył go, pokiwał głową i powiedział:

— Obmyjcie go i przysposóbcie mu trumnę... On może jeszcze odzyskać przytomność, ale nie na długo. Obmyto Jakuba. Pokazało się że miał głowę ko-

pytem końskim rozwaloną i pierś zgniecioną, a kości jego nóg i rąk i biodra były w kilku miejscach złamane. Oświeżony chłodną wodą, odzyskał on przytomność: przemówił, a pierwszym wyrazem jaki z ust jego wyszedł, był:

wspaniałe ruiny istniejącego tam niegdyś zamku, które na niniejszym drzeworycie przedstawiamy. Jest to gmach z cegły na wapno stawiany, sięgający niewątpliwie XV, a najpóźniej XVI stulecia. Kto go wystawił, o tym niema na miejscu żadnych śladów, a i w kronikach nie mogliśmy się



RUINY ZAMKU W WYSZYŃ.

o nim niczego dowiedzieć. Plan tego zamku jest czworokątny, z ośmiościennymi po rogach wieżami, z których jedne spiczasty daszek pokrywał, inne zaś pewnym rodzajem ozdobnych blanków u góry zakończone, nie miały jak się zdaje żadnego wystającego przykrycia. Część mieszkalna wzniesioną była na jedno piętro i wysokimi opatrzoną kominami, jak o tym pozostałe w ruinach ślady przekonywają.

Ostatni z dziedziców który w tym zamku mieszkał był Rafał Gurowski, po którego śmierci Wyszyń została pod administracją rządu pruskiego. Za tej to administracji rozwalono część murów zamkowych, a z materiałów tym sposobem otrzymanych gospodarskie wzniesiono budowle. Pomimo to pozostałe

do dziś dnia ruiny dobre o całości tego gmachu dają wyobrażenie.

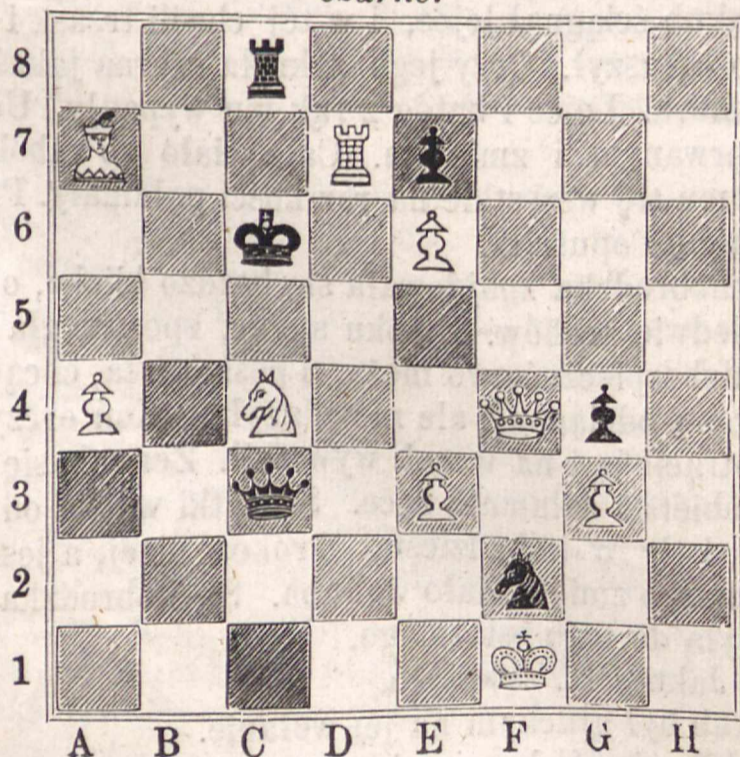
Do historii owego zamku przywiązana jest także legenda o pokutującej córce jednego z tutejszych dziedziców, która przed dwoma wiekami jakiś straszliwy popełniła występki, a której duch czasami tu się ma ukazywać. Według podania ma to trwać póty, póki szczęśliwy jaki śmiertelnik, rozumie się koniecznie powabny młodzieniec, jakąś ofiarą ztąd jej nie wyzwoli.

SZACHY.

ZADANIE XLII.

Białe zaczynają i dają mata za 2^{em} posunięciem.

Czarne.



Białe.

Szarada podana do nagrody w ostatnim numerze Tygodnika brzmi jak następuje:

Pierwsze czwarte w alfabecie;
Najmilsze z swych braci trzecie;
Pierwsze drugie zaniechane;
Wszystko słusznie wymiowane.

(Znaczenie jej: O-dy-maj-ka, wyraz nowy, dosyć trafnie wprowadzony zamiast krynolina).

Jak dotąd jedno tylko rozwiązanie tego zadania odebraliśmy od p. A. Z. z Lublina. Nie kładziemy tego jednak na karb niedomyślności naszych czytelników; wyraz bowiem, jakkolwiek zrzęcznie utworzony, nie znalazł dotąd miejsca w leksykonie mody, ani tém bardziej w potocznym użyciu.

— Księdza...

I prawie w tej chwili, w której ten wyraz wymówił, dał się słyszeć dzwonek idącego z wiatykiem księdza, po którego zawczasu posłał był mieszczanin. Wszyscy przytomni bogobojnie uklękli, potem powstał i wyszedł na palcach z izby.

Podczas kiedy Jakub przygotowywał się na drogę wieczności, Jakubowa wozem i wołami litościwego mieszczanina udała się na górę, tam zesłała się z synem, i jak już wiemy, zostawiła mieszczanina, a sama z Parfenim powróciła do konającego.

Jakub był już bardzo blizkim skonania, ale jeszcze syna poznał i jeszcze mógł do niego przemówić.

Parfeni ukląkł przy łożu.

— Błogosławię ci... moje dziecko... mówił Jakub. Oby cię... Najwyższy... w opiece... swojej... chował...

Zwarł powieki. Po chwili jednakże je rozwarł, i znów mówił, zwracając mowę do żony i syna:

— Jakieś wielkie... bogate... państwo... zrobiło wam krzywdę... Słuszna jest... abyście się... o nią... upomnieli... Niech zwrócą szkodę... niech... za konie... i wózek... zapłacą... ale niech... nie płacą... za mnie... nie chcę... abyście... za moją... duszę... brali... pieniądze...

Znów zwarł powieki i już ich nie otworzył. Tylko jeszcze z ust jego cichym poszeptem wypłynęły ostatnie wyrazy:

— Bądźcie zdrowi!...

Głośno rozległa się w izbie modlitwa za umarłych. Zrobiło się poważnie i uroczyscie. Anioł śmierci wszedł pod dach mieszczanina, który go przyjął z całym chrześcijańskim spokojem, z całą ludzką godnością.

(Dalszy ciąg nastąpi)

RUINY ZAMKU W WYSZYŃ.

Wieś Wyszyń, w gubernii warszawskiej, w powiecie konińskim położona, a należąca od niepamiętnych czasów do rodziny hrabiów Gurowskich, posiada dotąd

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 60.

Dom nie zajac, nie uciecze.